

Dr. Władysław Leopold Jaworski

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Czy obowiązuje coś ponad Konstytucję?

Powieść czy poezja są najwierniejszym odbiciem kultury danej epoki, jak z drugiej strony najsilniej na tę kulturę wpływają. Gdybyśmy tą drogą scharakteryzować chcieli epokę, w której żyjemy, i za najdobitniejszy jej wyraz uznali Marcel'a Prousta'a i Joyce'a, którzy na całym świecie tylu znajdują naśladowców i entuzjastów, to obraz byłby następujący.

Proust jest malarzem, jakżeż sumiennym i drobiazgowym, wszystkich instynktów, popędów, namiętności, które składają się na człowieka. Nad nimi jednak nic się nie unosi, a pod nimi widnieje tylko przepaść. Postacie, które tworzy, nie odczuwają nigdy i nigdzie żalu, skruchy, nie czują potrzeby przebaczenia. Raz tylko jeden, gdy opisuje śmierć powieściopisarza Bergotte'a, mówi Proust o jakimś innym świecie, w którym panuje dobroć i sprawiedliwość, w którym znają ofiarę, Franciszek Mauriac powiedział gdzieś o Proust'cie, że Bóg jest straszliwie daleko od niego. Dlatego między nim a genialnym malarzem zbrodniarzy i upadłych kobiet, Dostojewskim, jest najgłębsza różnica, jaka może istnieć między ludźmi, Dostojewski bowiem jest chrześcijaninem . . .

Proust jest twórcą ludzi nie mających ideału. Zagubił drogę, która do niego wiedzie, bo nie dojrzał w człowieku żadnego z tych pędów, które nazywamy szlachetnymi, bezinteresownymi, wolnymi od żądz i namiętności. A jednak nie można ich w człowieku zaprzeczyć. Kto to czyni, siebie ogranicza, a świat czyni ubogim.

Dziwny romans Joyce'a „Ulysses” jest spotęgowanym obrazem chaosu, w którym człowiek spędzałby życie, gdyby odbierał tylko wrażenia i nie przekształcał ich rozumem, a tylko je rejestrował. Ludzi takich, z wyjątkiem zamkniętych w lecznicach, niema. Wszyscy przekształcamy, przetwarzamy

my rozumem wrażenia, odbierane zewnątrz. Czyni to oczywiście i główna osoba „Ulyssesa”, Bloom, a tylko autor świadomie ignoruje tę przetwarzającą czynność rozumu i ogranicza się do natowiania wszystkiego, co przebiega przez umysł jego bohatera, od chwili przebudzenia się i wypróżnienia żołądka, jakżeż skrupulatnie opisanego, aż do położenia się do łóżka obok żony, po spędzeniu dnia, którego opis zajmuje kilkadziesiąt stronnic. Nie dzieje się nic szczególnego przez ten dzień. Każdy następny jest podobnym do poprzedniego, jak każdej nocy śni żona Blooma o przeszłych i przyszłych kochankach i miłostkach, których opis zajmuje ostatnią, znowu kilkadziesiąt stron obejmującą część książki Joyce'a. Wspólnym tym wszystkim rejestracjom jest to, że niema w nich szlachetnego nie tylko czynu, ale gestu lub myśli. Obraz naprawdę smutny.

Joyce jest twórcą ludzi bez ideału, jak Proust, ale chaos, który maluje, jest straszliwszy, bo nigdzie nie widać w jego dziele siły koordynującej, skupiającej, przetwarzającej, która tkwi w rozumie. Świadomie opisuje Joyce tułaczkę Ulyssesa człowieka, nie mającego celu, człowieka, dla którego ziemia jest granicą horyzontów.

Obaj pisarze uchodzą za ostatnie słowo twórczości w powieści. Mamy i u nas, świadomych lub nieświadomych naśladowców romansu, który widzi tylko zbrodnie, rozpustę, chęć użycia i namiętności. Jakżeż smutnym byłby świat, gdyby go zaludniały tylko takie postacie, jakie maluje Kaden Bandrowski w „Lenorze” i „Tadeuszu”. A jednak tak nie jest. Robotnik, który na obchodzie patriotycznym kupuje kokardkę, ma w duszy ideał, z którego może nie zdaje sobie sprawy, ale go ma. Biedni rodzice, którzy odmawiają sobie ostatniego kęsa chleba — w dosłownym tego słowa znaczeniu — aby dziecku dać wyższe wykształcenie, mają w duszy ideał. Nie można tego nie wiedzieć, nie można w praktykach religijnych dopatrywać się tylko metod ogłupiania ludzi, a w księżach demaskować wyzyskiwaczy.

Jakimi są Proust, Joyce, Kaden Bandrowski, jako indywidualności, nie wchodzę w to tutaj. Nie mam też kompetencji do oceniania wartości artystycznej ich dzieł. Obchodzi mnie tylko świadectwo, które wydają o świecie. Jest on złym, jakeśmy widzieli. W świadectwach tych jest jednak różny stopień tego zła i chaosu. Świat, który opisuje Proust, jest jak sklep, w którym rozłożone są towary w pewnym porządku.

U Joyce'a jest to halla aukcyjna, w której składa się najprzeróżniejsze towary, jak je nędza ludzka rzuci na sprzedaż.

Okazuje się — może dobitniej, niż w jakiegokolwiek poprzedniej epoce — że bez ideału ludzie stanowią tylko mechaniczne zbiorowisko, w którym każdy zębami wywalcza sobie miejsce.

Jakiż obraz widnieje z dzieł poświęconych nauce, a uznawanych jeszcze przeważnie za jedynie naukowe?

Nauka opierająca się na doświadczeniu przestaje nią być, jeżeli wychodzi poza doświadczenie i pragnie rozwiązać problemy, dla których rozwiązania nie istnieje doświadczenie. Dzieje się w skutek tego, że nauki duchowe stają się naukami przyrodniczymi, w najlepszym razie przeto zacieśniają swój teren, a wskutek tego nie rozwiązują odnośnych problemów. W rezultatach, do których dochodzą, są oprócz tego relatywne, bo zależne od zmieniających się doświadczeń. W nauce przeto, jak w powieści i poezji współczesnej, brak stałej idei, brak-aby użyć pojęcia dostępnego dla pozytywistów--mytu.

We wspomniałym swym wykładzie „Zur Kritik der Gegenwart" (Hermann Beyer u. Söhne Verlag, Langensalza 1928) mówi Artur Liebert ponad wszelką wątpliwość trafnie, że nauka, która się opiera tylko na doświadczeniu, włacza wszystko w mechaniczne śruby. Nauka taka bada, jak jedno zjawisko rozwija się z innego zjawiska, a ta myśl ewolucyjna opanowuje nie tylko biologię i wogóle nauki przyrodnicze, lecz także i nauki o duchu, ale co więcej opanowuje nie tylko całą naukę, lecz także całe życie. To właśnie jest najważniejsze, wiedzie bowiem do zrelatywowania wszelkiego bytu, który w ten sposób nie podlega żadnym absolutnym wartościom i normom. Jasną jest rzeczą, że temu stanowi odpowiada tylko mechanistyczna pedagogika, która wychowuje typy, a nie indywidualności. Nie jest więc prawdą, aby zrodzona z takiego mechanistycznego poglądu na świat demokracja (mówimy tylko o demokracji, która się na takim światopoglądzie opiera) dawała wolność. Jeżeli życie ma być rozważanem nie tylko z biologicznego, lecz także z duchowego punktu widzenia, to musi ono mieć transcendentny sens. Życie skurczone, ścieśnione relatywnością i mechanizacją współczesnej epoki buntuje się i szuka związku z zatraconym absolutem, innemi słowy zwraca się ponownie do mytu. Zdaniem Lieberta zbawienia nie przyniesie ani renesans metafizyki, ani sztuka, ale tylko religia. Do niej też zwracają się coraz bardziej ludzie.

Podpisuję te wywody Lieberta. Stwierdzam nadto, że coraz głośniejszą i głębszą staje się tęsknota do czegoś, co jest stałym, niezmiennym, bezwzględem. To poszukiwanie cechuje właśnie współczesną epokę i przez to, że ludzkość zawiedziona przez obietnice pozytywizmu rozgląda się i pragnie znaleźć owo coś transcendentne, mówimy, że w obecnej dobie znajdujemy się w przesileniu.

Wszystko, cośmy wyżej powiedzieli, odbija się na konstytucji marcowej i na projektach jej reformy. Konstytucja marcowa jest esencją owej zrodzonej z mechanistycznego poglądu na świat demokracji. Musiała zawieść. I rzeczywiście zawiodła. Rewizja jej jednak nie pomoże, jeżeli nie rozpozna się źródła zła i odpowiednio do tego nie obmyśli środków leczniczych. Gdyby rewizja Konstytucji poszła dalej szlakiem mechanistycznego poglądu na świat, choroba nie mogłaby być usunięta. Trzeba ten szlak opuścić, dojrzeć nową drogę i odważnie na nią wstąpić. Gdzież jest ta droga?

Wskazaliśmy ją, cytując Lieberta. Życie samo domaga się oparcia go o absolut. I oto! Autorowie projektu naprawy Konstytucji, opracowanego przez Blok Bezpartyjny, przejęci tą samą tęsknotą, umieścili na czele swojego projektu zdanie: „Źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród. Prawem naczelnem — Dobro Państwa”. Co postanowienie to oznacza?

W pierwszym ustępie tego artykułu autorowie projektu złożyli hołd panującej doktrynie demokratycznej, czuli jednak, że państwo zdane na prawo, które tylko w demokratycznie pojętym narodzie miałoby swe źródło, zawiesiłoby państwo w atmosferze zmiennej, chwiejnej, względnej, wiodącej do takiego kryzysu, w jakim się zachodnia Europa obecnie znajduje, a w jakiej i my, naśladowcy stamtąd płynących urządzeń, się znajdujemy. Stąd owo pragnienie oparcia Państwa na czymś wyższym, „naczelnem”, coby zmieniło owo wyżej określoną atmosferę. Dali temu wyraz w postanowieniu: „Prawem naczelnem — Dobro Państwa”. Doniosłe postanowienie! „Prawo naczelnem” — to nie prawo uchwalone przez reprezentację narodu, ale prawo, które ma obowiązywać ponad tem uchwaleniem przez parlament prawem. „Dobro Państwa” — to wprowadzenie w ideologię Konstytucji, opierającej się na pojęciu „narodu” innego pojęcia, a mianowicie pojęcia „Państwa”. Nie wiem, czy świadomie, czy nieświadomie, autorowie projektu postawili go na zupełnie innym terenie, jak ten, na któ-

rym wznosiła się dotychczasowa Konstytucja. Szukali i znaleźli coś „naczelnego”, coś, co ich zdaniem ma mieć wartość bezwzględną, niezależną od takiej lub innej, odpowiadającej każdoczesnym stosunkom „woli narodu”.

Z tego punktu widzenia oceniając powyższe postanowienie, należy je z wielką powitać radością. Inna rzecz, czy cel wprowadzenia do Konstytucji owej bezwzględnej wartości, o której mówiliśmy, został osiągnięty przez wyrażenie „prawem naczelnem — Dobro Państwa”, czy też należało rzecz postawić odrazu odważniej, a przez to jaśniej.

Nie może być inaczej, niż jak to projekt Bloku Bezpartyjnego stwierdza: „prawem naczelnem — Dobro Państwa”. Cóż to jednak jest „Dobro Państwa”? Jeżeli nie jest czemś absolutnem, niezmiennem, to nie może być prawem „naczelnem”. Gdyby nie było absolutnem, to powyższe postanowienie projektu Bloku Bezpartyjnego byłoby zbędnem, bo każda ustawa uchwalona przez parlament jest w rozumieniu uchwalającej ją większości „Dobrem Państwa”, a przecież większość ta się zmienia i trzeba szczególnych właściwości, aby fikcję brać za rzeczywistość. Jeżeli więc „dobro Państwa” jest czemś absolutnem, to nie może być niczem innem, jak ziszczaniem się moralności absolutnej, a więc tej, która tkwi w religii. Rację więc ma Liebert, którego główne myśli powtórzyliśmy wyżej: pokonania kryzysu, przez który przechodzą narody europejskie, oczekiwać można tylko od religii. Głęboko te kwestje ujmuje Paulin Chomicz w rozprawie „Nieznienniki w polityce” (Warszawa 1929). Oto określenie głównych jego myśli: „1. Stosunkiem jednostki do zbiorowości ludzkiej rządzi moralność, bowiem prawo moralne, z jednej strony, zapewnia niezależność indywidualną i, z drugiej strony, łączy indywidualność z powszechnością. Prawa moralne nie są wytworem ludzkim, posiadają bowiem cechę konieczności nakazującej, nie dającej się wyprowadzić rozumowo. 2. Państwo, mając za zadanie iszczenie moralności zewnętrznej postępów ludzkich, może i winno w razie potrzeby stosować przymus”.

Artykuł drugi projektu Bloku Bezpartyjnego stara się przeto wyrazić, że Państwo jest syntezą prawa boskiego i ludzkiego, prawa uchwalonego przez naród, reprezentowany przez parlament, i moralności. Wyrażenie „prawo naczelne” nie jest użyte w znaczeniu normy prawnej, ale w znaczeniu naczelnej zasady, fundamentalnego punktu oparcia, bez któ-

rego trwałej nie można wznieść budowy. Ale nie jest normą prawną także i pierwszy ustęp tego artykułu: „Źródłem władzy w Rz. P. jest naród”. Jest to tylko wyraz na określenie prawa ludzkiego w przeciwstawieniu do moralności absolutnej. Jako taki, jest to postanowienie zbędne — nie mówimy obecnie o jego fikcyjności — cała Konstytucja bowiem nie co innego wyraża. Syntezę prawa uchwalonego przez parlament z moralnością absolutną wyrażał zwrot w dawnych Konstytucjach monarchicznych: „z woli narodu i łaski Bożej”. Formuła ta wyraża, jak żadna inna lepiej, że „trwałość, a nawet prosta egzystencja porządku społecznego nie mogą być osiągnięte przez żaden inny środek, jak przez wpływ, a raczej przez wprowadzenie formalne charakteru boskiego do władzy politycznej, nie jako warunku dodatkowego, ale jako warunku istotnego i podstawowego tej władzy” (Hoene Wroński, *Sécret politique de Napoléon*, Paris 1840 str. 29). Dzisiaj takie sformułowanie pachnie reakcją. Ludzie nie rozumieją, co ono oznacza. Uważają słowo „z łaski Bożej” za dekorację, jak purpurę, koronę i berło. Należy więc szukać innej formuły, aby tę niezbędną, konieczną syntezę wyrazić. Należy jej szukać tem bardziej, że Konstytucja jest pewną całością norm prawnych, a nie deklaracją, nie programem, nie stwierdzeniem pewnych teorii. Owa synteza przeto będzie mogła tylko wówczas wejść do Konstytucji, jeżeli uda się nadać jej formę normy prawnej. Próbowałem to uczynić w moim „Projekcie Konstytucji” (Kraków 1928). Nie chcąc się powtarzać, tam muszę odesłać tych, którzy nad tą najdonioślejszą kwestją myślą.

Projekt Bloku Bezpartyjnego nie załatwi mojem zdaniem przesilenia. Usunie z pewnością pewne niedomagania i z tego powodu jest postępem. Nie widzę w nim jednak wnikięcia w sedno zła. Wnioskodawcy liczyli się z pewnością z panującymi stosunkami politycznymi i jak często bywa, z góry dali kompromis, jakkolwiek on przecież kończy, a nie zaczyna akcji. Jak każdy kompromis, nie zadowolił on nikogo. Wedle mojego przekonania jednak ma jedną zasługę, której mu historia nie odbierze. Owo zdanie „prawem naczelnem — Dobro Państwa” jest zwrotem w pojmowaniu Konstytucji, państwa i prawa. Dyktowało je pragnienie znalezienia część trwałego, niezmiennego, bezwzględного, na czem oprzeć można ludzką budowę. I tutaj jednak widać ów kompromisowy nastrój. Aby nie zrazić „pozytywistycznie” myślących obywateli, nie po-

wiedziano wyraźnie, że „dobrem Państwa” jest „ziszczanie” moralności absolutnej. Ale gwałtowne ataki przeciwko temu właśnie ustępowi, ubrane w przeróżne argumenty, świadczą, że odczuto, iż tutaj mieści się ów zwrot, o którym mówiliśmy. Okazuje się bowiem z tego postanowienia, iż są ludzie, którzy uznają, że ponad Konstytucją obowiązuje coś, czego większość parlamentu nie może zmienić. Ludzi takich jest coraz więcej. Lepsze nastaną czasy, gdy oni uchwalać będą Konstytucję.